

Weronika Górska

Śmiech przez łzy

Wybierając się na Katowicki Karnawał Komedi, spodziewałam się zobaczyć spektakle mistrzowsko zrealizowane formalnie, lecz lekkie, łatwe i przyjemne w treści. Niektóre z nich faktycznie takie się okazały. Dużą część repertuaru stanowiły jednak sztuki skłaniające raczej do refleksji niż śmiechu, a jeżeli już, to był to śmiech przez łzy, o czym lojalnie informował program festiwalu.

Najbardziej przejmująca wydała mi się „Lobotomia” Marka Rachonia, wystawiona przez Teatr Śląski w Katowicach. Jej bohaterkami są trzy pracownice domu publicznego – Koka (Anna Lemieszek), Hera (Martyna Guzy) i Hasz (Katarzyna Błaszczynska), opowiadające w monologach i piosenkach o trudnych doświadczeniach biedy, przemocy, toksycznych związków, niespełnionych marzeń o macierzyństwie, bulimii, narkomanii. Przed wszystkim mówią jednak o samotności, której relacje z innymi ludźmi nie koją, a jedynie pogłębiają, nieodmiennie rozczarowując i wpędzając w jeszcze większe kłopoty od dotychczasowych. Wykorzystywane i poniżane przez demonicznego alfonsa Złego (Arkadiusz Machel), osaczone przez Psychola (Kuba Anusiewicz), sprowadzone do wartości fizycznej, przeliczanej na finansową, Koka, Hera i Hasz marzą tylko o tym, by odciąć się od bolesnych wspomnień i emocji z pomocą substancji psychoaktywnych, a najlepiej lobotomii. Z trudną tematyką społeczno-psychologiczną spektaklu kontrastuje musicalowa formuła, pełna wpadających w ucho piosenek kabaretowego zespołu The Tiger Lillies oraz dynamicznych układów choreograficznych. Bolesna diagnoza ludzkiej kondycji, przekazana z dystansem, ironią i czarnym humorem, zaskoczyła, a może nawet zszokowała widzów. Niektórzy szli do szatni w milczeniu, z zadumą na twarzy, inni głośno komentowali, że jakkolwiek „Lobotomia” była świetna, to po festiwalu komediowym spodziewali się raczej odprężenia, podniesienia na duchu, niż przypomnienia, jak wiele jest na świecie zła i cierpienia.

Kolejnym komediodramatem była sztuka Sébastiana Thiéry'ego „Kim jest pan Schmitt?”, wyreżyserowana przez Cezarego Ibera z Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Jej bohaterowie to państwo Baranowie (Izabela Wierzbicka i Zbigniew Antoniewicz), małżeństwo w średnim wieku, które podczas kolacji orientuje się, że nie jest w swoim mieszkaniu, a jedynie w podobnym. Na ścianie wisi inny obraz, na regale stoją niewłaściwe książki, w szafie znajdują się nie ich ubrania. Jak się okazuje, mieszkanie

należy do tytułowego pana Schmitta i pan Baran, by uniknąć konsekwencji karnych włamania, zaczyna go udawać, przekonywany przez żonę, że najbezpieczniej płynąć z prądem. Zarówno kolejne kłamstwa, jak też próby wyjaśnienia, co i dlaczego wpędziło bohaterów w tę absurdalną sytuację, prowadzi do komicznych sytuacji. Tym razem widzowie, którzy przyszli do teatru po to, by się pośmiać, nie mogli czuć się rozczarowani, bo zarówno świetnie napisane dialogi, jak i gra aktorska pobudzały do nieustannego rechotu. Sytuacja przestaje bawić, gdy pani Baran zaczyna naprawdę uważać się za panią Schmitt, a na scenę wkracza syn pary, na dodatek czarnoskóry (Benjamin Diamouténé), podczas gdy oboje są biali. Nagle komedia zamienia się w opowieść o kryzysie tożsamości i rodzinnych relacji, zaś jej pointa skłaniała wyłącznie do płaczu.

Trzecią „nie całkiem komedią” była „Podróż do Buenos Aires”, monodram Gabrieli Muskały, napisany przez Amanitę Muskarię (pod tym pseudonimem ukrywa się aktorka i jej siostra, Monika Muskała), a wyreżyserowany przez Mariana Półtoranosa. Bohaterka to emerytowana polonistka, stopniowo pogrążająca się w demencji. Wygłaszane z werwą monologi, w których płacze wspomnienia z pracy zawodowej, małżeństwa i macierzyństwa z narodowo-religijnymi mitami, porównując siebie do Matki Boskiej, skłaniają do śmiechu, ale również do zadumy. Kiedy zaś staruszka roi, że córka, która się nią opiekuje, ją oszukuje i okrada, oraz zaczyna marzyć o podróży do krewnych za granicą i ich idealizować, przypomina matkę Barbary Niechcic z „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej. Zarówno błyskotliwy, pełen aluzji literackich i kulturowych tekst komediodramatu, jak też kreacja Gabrieli Muskały, znakomicie wcielającej się w postać dużo od siebie starszej kobiety, sprawiły, że publiczność przeżywała całą gamę uczuć – od rozbawienia, poprzez współczucie, wzruszenie, strach i podziw.

Najbardziej wyczekiwany przeze mnie przedstawieniem festiwalu był „Ożenek” Mikołaja Gogola, debiut reżyserski Janusza Gajosa w Och-Teatrze z Warszawy. Choć cenę współczesne interpretacje klasyki, zarówno w kinie, jak i w teatrze, to mam sentyment do tych wiernych tekstowi oraz realiom epoki, pozwalających poczuć jej ducha. Spektakl Janusza Gajosa taki właśnie był – bohaterowie nosili stroje z pierwszej połowy XIX wieku, a scenografia, chociaż oszczędna, również cytowała ówczesne trendy wystroju wnętrz. Tematyka sztuki przypominała powieści Jane Austen – swatanie, konkury, ocena potencjalnego kandydata na męża czy żonę głównie na podstawie majątku, pochodzenia, pozycji społecznej bądź towarzyskiego poloru oraz karykaturalne portrety prowincjonalnej społeczności. Tyle że ostrze satyry angielskiej pisarki osładzały wątki spełnionej –

aczkolwiek nie bez przeszkód – miłości między bohaterami darzącymi się prawdziwym uczuciem oraz pasującymi do siebie pod względem gustów i temperamentów. U Gogola zabrakło zarówno bohaterów pozytywnych, jak też happy endu. Jego ocena społeczeństwa jest wyłącznie gorzka. Nic zatem dziwnego, że przed blisko dwustu laty „Ożenek” zrobił klapę, nawet sam car ostentacyjnie wyszedł ze spektaklu przed końcem. Współczesna publiczność patrzy na tę sztukę znacznie przychylniej – podczas Karnawału Komedii otrzymała owacje na stojąco. Może ta przychylność wynika stąd, że żyjąc w kulturze, w której nie zawiera się aranżowanych małżeństw (lub tylko bardzo rzadko), nie czujemy się zranieni ostrzem gogolowskiego pióra? A przecież wszystkie sportretowane przez niego typy ludzkie zdarzają się również w epoce Tindera. Nie brakuje osób desperacko szukających jakiegokolwiek partnera, byle tylko odrobinę podniósł ich status materialny lub rozwiął nudę. Nie brakuje mitomanów, snobów czy niezdecydowanych safandulów, którzy najpierw dążą do relacji, a potem w panice się wycofują. Nie brakuje też „życzliwych” swatów, którzy męcząc się we własnym związku i nie chcąc cierpieć w pojedynkę, usilnie wmawiają innym, że nie powinni dłużej pozostawać singlami, bo to „niedojrzałe”. Janusz Gajos – znakomity aktor – dobrał wspaniałą obsadę, by wszystkie wypunktowane przez Gogola wady i śmieszności pokazać z pomocą odpowiednich ruchów, mimiki, tonu głosu. Szczególnie urzekł mnie Sławomir Pacek w roli Anuczki, zafiksowanego na „francuskich manierach” potencjalnej żony oraz Krystyna Tkacz jako Fiołka Iwanowna, czyli przedsiębiorcza swatka, bagatelizująca potencjalne przywary konkurentów oraz wygłaszająca dosadny końcowy monolog o beznadziejnych sytuacjach matrymonialnych.

Z wielką przyjemnością obejrzałam również „Tigergirls”, premierę Freda Apke w Teatrze Korez. Jest to historia trzech zamożnych wdów, które postanawiają wystąpić w telewizyjnym konkursie talentów i zatrudniają coacha, który pomoże im się przygotować. Każda z pań reprezentuje odmienny, wyrazisty typ osobowości. Mamy więc melancholijną poetkę, która panicznie boi się występów publicznych (Elżbieta Okupska), mamy nimfomankę, która w toku akcji okazuje się erotomanką-gawędziarą (Marta Klubowicz), a wreszcie zimną sukę, która jednak, jako jedyna z trio, miała udane małżeństwo (Izabella Malik). Zderzenie trzech tak odmiennych temperamentów i spojrzeń na świat prowadzi do wielu komicznych sytuacji, podkreślonych przez błyskotliwe dialogi. Mimo nieustannych swarów i dąsów, przyjaciółki w kryzysowej sytuacji okazują sobie wsparcie oraz jednoczą się przeciwko wspólnemu wrogowi (Artur Świąt). Ze wszystkich pań bije niesamowita energia, zwłaszcza podczas końcowego występu w konkursie talentów, gdy odkrywają w

sobie siłę, o którą wcześniej się nie podejrzewały. W znakomity sposób nawiązują też kontakt z publicznością, gdy pytają, w jaki sposób ukarać usiłującego je wykorzystać mężczyznę. Spektakl „Tigergirls”, chociaż lekki i zabawny, przekazuje ważną prawdę, by nie oceniać innych po pozorach i by stosować zasadę ograniczonego zaufania.

Szczególny sentyment wzbudziła we mnie farsa „Nie książka zdoła człowieka” Seymoura Blickeera z Teatru Kwadrat w Warszawie, wyreżyserowana przez Giovanni'ego Castellanosą. Bohater to pisarz (Andrzej Nejman), świadomy, że by wypromować swoją twórczość, musi nie tylko mieć talent, ale też brylować w towarzystwie wydawców oraz krytyków, udzielać wywiadów, brać udział w talk show. Jest jednak zbyt neurotyczny i zakompleksiony, by pokazywać się publicznie. Boi się, że pod wpływem stresu albo zapomni języka w gębie, albo przeciwnie, będzie gadał bzdury, a na dodatek doczeka się nieprzychylnych ocen swojej powierzchowności. Namawia zatem przystojnego i pewnego siebie kumpla (Paweł Małaczyński), by wcielał się w niego w kontaktach ze światem zewnętrznym. Owa zamiana uruchamia lawinę przezabawnych pomyłek i niedomówień. Atutem spektaklu są cięte, wieloznaczne dialogi, ale przede wszystkim pełna komizmu gra aktorska. Andrzej Nejman, ze wszystkimi swoimi dziwactwami, ale też ich pełną świadomością, przypominał mi trochę kreacje stworzone przez Woody'ego Allena, a trochę... mnie samą, gdyby podkreślić do maksimum wszystkie moje lęki i zahamowania. Myślę zresztą, że są to lęki i zahamowania, z którymi zmagają się wielu twórców, nie potrafiących jednocześnie wcielać się w rolę celebrytów ani nawet własnych menadżerów. Spektakl bardzo zyskał również na kreacjach przedsiębiorczych niewiast – partnerek obu bohaterów, które rozwiązują stworzone przez nich problemy (uwodzicielska Aleksandra Radwan oraz wściekła Elżbieta Romanowska), a także zadziwiająco wykształconej pokojówki, krzyczącej na pisarza, żeby zszedł z okna, bo dotąd jeszcze nikt nie zabił się w pokoju, który ona sprząta (Magdalena Stuzińska). Spośród sześciu spektakli, które oglądałam podczas Katowickiego Karnawału Komedii, „Nie książka zdoła człowieka” dostarczyła mi najlepszej zabawy. Przezabawna, lekka, a przy tym ironicznie portretująca środowisko artystyczne, wprowadziła mnie w dobry nastrój na cały wieczór.

Jak napisał Ignacy Krasicki w „Monachomachi”: „I śmiech niekiedy może być nauką, kiedy się z przywar, nie z osób natrzęsa”. Podczas Katowickiego Karnawału Komedii nie zabrakło zatem spektakli obśmiewających takie wady, jak snobizm, interesowność, obłuda, mitomania czy patologiczny brak pewności siebie. Czasami ich bohaterowie zostali sportretowani w sposób wyłącznie ironiczny, a czasami z sympatią oraz wyrozumiałością.

Oglądając i słuchając ich absurdalnych pomysłów wraz z jeszcze bardziej absurdalnymi konsekwencjami, mogliśmy śmiać się do rozpuku, a zarazem zastanowić, czy sami również nie zachowujemy się podobnie? Śmiech to znakomity sposób, by owoić dziwactwa i śmieszności – zarówno w innych ludziach, jak i w samych sobie.